№ 10. Warszawa, dnia (21 Lutego) 5 Marca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

O zmierzchu.

Ucichły nareszcie dźwięki galopady, mazura, walca... Karnawał skończony. W powietrzu drżą jeszcze echa.

Ognisty bo był ten karnawał tegoroczny. Poprzedników swoich zaćmił; a wspomnienia szałów jego popłyną w przyszłość, i prawdopodobnie dopiero o brzegi następującego okresu balów rozbite, rozprysną się na niedostrzegalny pył.

Szkoda, że psychologia tłumu, psychologia narodów, zbiorowości wogóle, nie jest dotąd jeszcze nauką, mającą niewzruszone prawa swoje. Są ciekawscy, których zastanawia jako symptomat to rozhulanie się narodu w tym roku; ci pływać muszą po wielkiem morzu domysłów. Sienkiewicz opowiada nam w „Ogniem i mieczem," że kiedy kozactwo hulać zaczynało po jarmarkach gwałtowniej, niż zwykle, ludzie doświadczeni przepowiadali wojnę. Gdy kozak pił na zabój, znaczyło, że śmierć czuje w pobliżu. A my — Warszawa, dlaczego tak namiętnie morfinizowaliśmy się w tym roku odurzającym napojem uciech karnawałowych? Czy my także ludzie, którzy nie wiele mają już do stracenia? A może inny powód jaki? My sami nie wiemy. Gdybyśmy jednak mieli odwagę spojrzenia w głębiny sumień własnych, kto wie, czy nie znaleźlibyśmy objaśnienia. Może to po trzeba było o czemś zapomnieć, może w puharze upojeń zatopić wyrzut jaki, może rumieńcem karnawałowego szału pokryć wstydu rumieniec. *Chi lo sa?* Dość że „Słowianin wpół dziki," któremu „wszędzie dobrze i wszędzie mu chata, byle miał pląsy i trochę muzyki," tańczył w tym roku do upadłego, i takie godzi mu się wystawić świadectwo: „Tańcząc zapomniał..." Nie idźmy za poetką dalej, zasłońmy uszy na wróżbę w ostatnim wierszu zawartą. Za trudno byłoby nam ją wymówić. A zresztą może tam i za wiele pessymizmu.

Kto nie karnawałował nogami, ten wyobraźnią gnał w karnawały innych epok lub innych ludów, jak np. ów „starej Warszawy trubadur pokutny" Or-Ot. Rozpędzony poeta zajechał na reduty warszawskie z przeszłego stulecia. „Dowcipy krążą" koło niego „jak motyle, uśmiechy kwitną bałamutne..." ówdzie „francuzkie dzwoni słówko — z temperaturą wrzącej lawy" i „margrabinka z jasną główką, najpierwsza piękność, cud Warszawy" pochyla się ku niemu. „Wyjawia trzpiotce swe uczucia arlekin, zaklęć płynie fala! Ej królu Stasiu, bałamucie: pani Grabowska patrzy zdala!"

No, i nie zazdrościć tu tym poetom? Ledwie dosiadł pegaza, i w jakie dostał się towarzystwo!

„Inflancki poseł, kwiat młodzieży, szarmancką służbę zwinnie czyni, szepcąc do uszka koncept świeży, ślicznej markizie Luchesini! A książę Pepi, gracya sama" i t. d., i t. d. „Zaiste piękne to reduty! I serc i duchów maskarada... Złociste gwiazdy lśnią na niebie, skronie bez chmury i bez troski. Tylko smętnieją tam u siebie Kołłątaj - Deckert — Małachowski!"

Są chwile, w których człowiek potrzebuje zawołać: „Wierzę!" „Wierzę sercem poganina w rym Szekspirowski, w Danta i w Homera" nie, nie tak! a więc wierzę, że „ludy płyną jak żórawie — w postęp," nie i nie to jeszcze! Chcę wierzyć tylko, że i między nami, że i w tym roku także byli tacy, co smętnieli u siebie, gdy dokoła nich huczał zapustny wir.

Niejeden z czytelników naszych zwrócił już zapewne uwagę na Mickiewicza, tego nieszczęśliwego Mickiewicza, którego szlachetne oblicze skarykaturowane, zdobi pudełka do zapałek, papiery służące do zawijania mydeł i t. p. i t. p. Czy to nas godne? Niechaj sobie Niemcy malują starego Wolfganga na fajkach porcelanowych, filiżankach, przyciskach, i Bóg wie jeszcze gdzie, niech szlachetną, uduchowniną twarz Szyllera poniewierają, strojąc w nią również przeróżne przedmioty codziennego użytku, my powinniśmy odczuwać całą niewłaściwość podobnego postępowania. Autor Walenroda na jednem mydełku, panna z wyszczerzonemi zębami na drugiem. Na Boga! przecież to profanacya! Trudno jest zaiste przemawiać w imieniu przeszłości, ale zdaje mi się, że współcześni Mickiewicza, ci „młodzi przyjaciele," do których zwracał się w swojej Odzie, te poetyczne panienki, które chwytały chciwie każdy nowy utwór jego, że cała społeczność ówczesna nie pozwoliłaby na *takie* uczczenie ukochanego przez się poety. A nas, tak niby wysubtelnionych nie razi, nie nudzi i nie obraża to szarzanie po witrynach sklepowych natchnionego oblicza, które powinniśmy stroić laurem i palmą męczeństwa. Tego rodzaju popularności i uznania nie pozazdrościłby z pewnością Mickiewiczowi ten który bolał, że jest mniej kochanym. On wzgardziłby takimi objawami miłości.

Nie wydobędę się już widać dzisiaj z objęć poezyi i poetów, tylko że tym razem nie o Mickiewicza chodzi, i nie o „Odę do młodości," choć utwór, który mnie zajmuje, nosi tytuł „Młodzi." Spowiedź to—nie oda.

Imieniem, nie całego rozumie się, ogółu młodzieży, ale w każdym razie pewnego jej odłamu grupy, umysłów i dusz przerafinowanych p. Wł. Sterling mówi: „Idziemy zwolna życia ujściem stromem, idziemy drwiący, cisi, obojętni; burza w nas huczy zwątpienia ogromem, i morze pragnień konających tętni."

Jako istotnie dosyć wierne odzwierciedlenie uczuć, skarg, bólów najwyżej pod względem umysłowym stojącej części młodego pokolenia, wiersz ten jest bardzo zajmującym. Posłuchajmy więc dalej: „A z nami idzie nasza krew zatruta i myśl strawiona niepomier-

ną pracą i nasza młoda przedwczesna pokuta, kaźń niewiadomo za kogo i za co.

Na pokolenie to uwiędłe przed czasem wołają starsi: młodymi jesteście „młodość swoją nam pokażcie!" „A gdzież ta młodość!" — z goryczą odpowiada poeta, czy młodością ma być „ta spleśniała mdłych dociekań reszta, czy te przerosłe mózgiem nasze serca, czy ten do życia wstręt?..." Ktoby chciał scharakteryzować epokę dzisiejszą, nie mógłby podług p. Sterlinga lepszem ochrzcić jej nazwaniem, jak „wiek bez miłości." „Zaprawdę, jeśli potrzebną jest kara, która sny ziści i spokój odkupi, jeśli go może odkupić ofiara, to chyba dosyć tej młodości trupiej!" — wybucha skargą bardzo bolesną i bardzo słuszną. Zaiste młodość bez porywów i uniesień młodości, czyż może być widok smutniejszy? Więc nie wątpimy, że ofiarę tę przyjmie ołtarz, który przyjął już ich tyle, że po entuzyastach, po zapaleńcach przyjdą położyć się na nim ci uwiędli w wiośnie życia szydercy, i cisi, obojętni pochylą u jego stóp blade czoła. Zgadzamy się też, że ofiara to smutniejsza od ofiary krwi, którą nieśli dobrowolnie tamci. Ale nie rozumiemy tego pokolenia, gdy przez usta poety swego przemawia do starszych: „My nie tworzymy nic, ale wam wara w skostniałe palce brać naszego ducha! Bo aż się wzdrygnie wasza ręka stara od tego ognia, który z nas wybucha! Bo z nas nie wszystko jednak pójdzie w trumnę — my mamy czoła dumne, bardzo dumne!"

Istotnie te czoła dumne widzimy dokoła. Ale zkąd prawo do trzymania głów tak hardo u tych, którzy „nie tworzą nic," którzy czują w sobie tylko „śpiącą energię niemocy," śpiącą i niezdolną do zbudzenia się. Bo wszakże nawet potęgi słowa nie czynu nie kryje wyschła ich pierś. „Ani my słowa orężni prorocy, ani my niesiem pokoleń bussolę." Więc naprawdę cóż to jest to, co ma nie pójść w trumnę, co ma pozostać jak przyszłości nasienie?

Był niegdyś z dumnych najdumniejszy, ale po nim pozostała ta „siła fatalna," która „zjadaczy chleba w aniołów przerabia."

Ej, smutne, smutne to widowisko: dusza pyszna a bezpłodna.

X.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Wtedy to w liście do Ozierskiej wyznała, że sama nie da rady, że gospodarstwo wiejskie to warsztat dla dwóch osób, i że chyba znowu musi się starać o pomocnicę, tylko broń Boże młodą. Młodej za nic, chyba jaką starą pannę, lub wdowę bezdzietną.

„Moja Taisiu — odpisała Ozierska — taką osobę znajdziesz tu w Warszawie bardzo łatwo. Tysiące kobiet poszukuje zajęcia i chleba, spełnisz miłosierny uczynek dając tym biedaczkom kąt i pracę. Przyjedź do nas, mamy wolny pokój, będzie ci jak w domu. Podamy ogłoszenie do „Kuryera," zobaczysz sama kandydatki i wybierzesz tę, która ci się najlepiej podoba. Zresztą mamy tyle do pogadania, i tak ci będziemy radzi!"

Ta propozycya wydała się pani Taidzie bajeczną. Odjechać Rudy, gospodarstwa, być w Warszawie, w tym zgiełku, wybierać z mnóstwa nieznajomych towarzyszkę, pracownicę, nie wiedząc co zacz jest!

Po niejakim czasie jednak zreflektowała się i poczęła myśleć, że z rozpaczy człowiek brzytwy się chwyta. A wreszcie pewnego dnia kazała znieść z góry walizkę i zaczęła się pakować.

Tydzień zajęło przygotowanie do wyprawy, dawanie dyspozycyi, wydzielanie wiktu i zboża na czas nieobecności, tysiące poleceń oficyalistom.

Nareszcie wyruszyła, tak zmęczona już w bramie, że wątpiła, czy żywa dojedzie.

Ze stacyi zatelegrafowała do Włodzia, bojąc się zginąć w Warszawie, przez całą drogę nic prawie nie jadła, bojąc się by pociąg nie odszedł bez niej, i odetchnęła dopiero u kresu, widząc syna na peronie.

Zaledwie Włodzio ją ulokował w dorożce, zaraz oznajmił niesłychaną rzecz:

— Wie mama, kolegę mam u Ozierskich.

— Co za kolegę?

— Stasia przyjechała, ale jaka Stasia!.. Uczesana, umyta, małomówna — istny rabin!

— Już dosyć medycyny?

— Nie. Chorowała na jakąś gorączkę. Ozierski sam jeździł do niej i przywiózł, żeby wypoczęła. A wie mama kto im doniósł o jej chorobie? Nasz Kazio. To on w Genewie praktykuje agronomię!

Pani Taida była tem wszystkiem do szczętu rozstrojona. Nawet nie znalazła odpowiedzi.

— No, a ty miałeś choć jednego pacyenta? — spytała.

— Miałem dwóch — jeden szewc, drugi introligator. Szewc żyje, a ten drugi umarł, ale obadwa mi nic nie zapłacili. To nic — jeszcze będę sławnym!

— Twoja rzecz teraz. Ja swoje spełniłam. Wierzę w to, że pasożytem na świecie nie będziesz. Przywiozłam ci kilkaset rubli na ciężki początek. Czy też temu miastu końca niema! Mój Boże, jak ludzie w tym piekielnym hałasie żyć mogą!

— Dojeżdżamy! Z bramy na lewo, pierwsze piętro! Służę mamie!

Pani Taida i jej walizka zniknęła w sieni. Był to nareszcie kres podróży. Wpadła w objęcia Ozierskiej, rozpoczęły się wykrzykniki, opowiadania, bezładna rozmowa i zaraz posiłek.

— A panny Stasi niema? — zagadnął Włodzio.

Ozierscy spojrzeli na panią Taidę zakłopotani.

— Słyszałaś? — szepnęła Ozierska.

— Ano, cóż znowu! Dobrzeście zrobili — odparła.

— Dziękuję pani za dobre słowo! — ucieszył się Ozierski. — Bo to łatwo wyklinać i wydziedziczać, ale ostatecznie trudno tego dotrzymać.

— Może się i ona opamięta i rozmyśli.

— O tem już nawet nie śnimy—westchnęła matka. — Ale przynajmniej tyle pociechy że herezyi nie wyprawia i nie wygaduje. Teraz po całych dniach czyta, siedzi w bibliotece uniwersyteckiej, albo tu w domu nad książką, i wydziera się znowu tam. Ubłagaliśmy, że zostanie do świąt, a potem — co robić, trzeba będzie odwieźć. Żeby nie twój poczciwy Kazio, to byłoby po niej. Umierała i nie prosiła o ratunek.

Pani Taida pokręciła głową. Ta poczciwość Kazia była dla niej mocno podejrzanego gatunku.

Zaczęto mówić o interesie pomocnicy, i Włodzio już układał ogłoszenie do „Kuryera." Po wielu naradach i zmianach ułożono następujące:

„Poszukuje się osoby w średnim wieku, na wieś, do zarządu kobiecem gospodarstwem i wyręczenia pani domu. Reflektantki zgłoszą się na ulicę Wspólną nr. 14, do pani Ozierskiej między 1—3 po południu.

— Trzeba dodać: wymagana znajomość rzeczy, bo uczyć nie myślę! — proponowała pani Taida. Napiszcie też, żeby to była osoba z naszego towarzystwa, żeby była zdrowa i silna, i z taktem.

— Pomyślą, że mama szuka synowej! — wtrącił Włodzio.

— To już można będzie ustnie załatwić! — zdecydowała Ozierska.

Pani Taida westchnąwszy, dała Włodziowi trzy ruble i posłała go do „Kuryera," a sama udała się do przeznaczonego sobie pokoju, by się po drodze okrzątnąć i wypocząć.

Na obiad wróciła Stasia z biblioteki. Ledwie ją poznała pani Taida. Wychudła i zczerniała, oczy jej się tylko paliły po dawnemu, ale jakimś płomieniem posępnym, złym, a usta miały wyraz goryczy i zawziętości — nie młodej już!

Przyszła sama do gościa i pocałowała rękę, zmięszana jakby i niechętna.

Uraziło to panią Taidę, ale przypomniała sobie ciocię Dysię, koronkę codzień odmawianą, i pogładziła dziewczynę po głowie.

— Mizernaś okropnie. Przepracowujesz się, to nic nie warte! No, ale żeś się z rodzicami pogodziła, to poczciwie, zacnie!

Stasi krew uderzyła do skroni, zawahała się sekundę i znowu schyliła się do ręki staruszki.

— Pani mi wtedy przysłała zielnik i sto rubli. Dawnobym za zielnik podziękowała, ale chciałam pieniądze odesłać i nie mogłam.

Z wielką trudnością mówiła.

— A to co znowu! — oburzyła się pani Taida. — Jeślim ci je posłała, to po pierwsze wiedziałam, że ci potrzebne, a po drugie byłam pewna, że mi je zwrócisz, jak już będziesz zarabiać na chleb, ale nie teraz, kiedy się uczysz. No, mam nadzieję, że do rodziców mnie z tem nie odeszlesz! — dodała niespokojnie.

— Rodzicom nie śmiałam wspomnieć, żem przyjęła jakby jałmużnę, tylko gdym była

bardzo chora, powiedziałam o tem synowi pani, żeby panią przeprosił i podziękował, bo już oddać nie miałam nadziei.

— Potrzebnieś mówiła! — mruknęła pani Taida. — A on co robił w Genewie?

— Nie wiem. Byłam bardzo chora, gdy się zjawił, a potem, nie wiem gdzie się podział.

— A ty, zawsze trwasz przy swojem?

Przez chwilę wzrok Stasi zamigotał po dawnemu zapałem i młodością.

— Pani się pyta! Pani, co przez całe życie od celu swego nie ustąpiła na krok, nie zawahała się na sekundę. Ja także na swojem postawię.

I znowu gorycz wróciła na twarz i dodała.

— Ciężko, mozolnie, gorzko, ale bodaj najgorsze, to wstręt i obrzydzenie, które w sobie mam do ludzi i uczuć. Przechodzimy kobie ty, tam piekło—nie zostaje nic niewiadomego, nic nieznanego, nic świętego! Są takie, które uciekają, niezdolne wytrzymać, są inne, które się z tem oswajają, nawet gustują. Ja wytrzymałam, tylko z niczem nie porównać ohydy mej i pogardy.

Połknęła ślinę, jakby to obrzydzenie dławiło ją za gardło i chwilę milczała.

— Pani wie, żem widziała ducha! — szepnęła.

Pani Taida skinęła głową.

— Nie mówiłam o tem nikomu i sama nie wierzę w nadprzyrodzone zjawiska, ale widziałam, i jeśli mnie coś czasem godzi z ludzkością, to ta twarz umarłej. Przypominam ją sobie w złych chwilach. I dlaczego ją widziałam, dlaczego do mnie przyszła! Nazajutrz poszłam do kościoła, chociaż tam nigdy nie bywam.

— Tego właśnie ona chciała od ciebie! A może i czegoś więcej jeszcze — wzięła ciebie pod opiekę! Zachowaj ją w pamięci! Każdy młody zaczyna od zapału i bezwzględnej wiary w ludzkość i idee, przechodzi potem rozczarowania, bunty, niewiarę, pogardę, a wreszcie dochodzi do równowagi, miary i wielkiej tolerancyi i spokoju. Naturalnie mówię o takich, co mają rozsądek, zdrowie moralne i fizyczne, i siłę. Że zaś takich mało na świecie, więc dlatego świat pełen jest niedołęgów, kalek i pasożytów. Otóż, jeśli chcesz się ohydy pozbyć nie patrz i nie myśl o takich, ale ziarna szukaj w plewie — i ziarnem bądź! A jeśli się chcesz pogardy zbyć— pomyśl, że ci nędzni są nieszczęśliwi i chorzy, a ty zdrowa i silna. Trzeba dla nich mieć litość i miłosierdzie — nie pychę! Nie wiesz dlaczego ustali, spodlili się, lub upadli. Kto silny, niech nie sądzi słabości, tylko niech Bogu za moc dziękuje. Jeszcze teraz mnie nie zrozumiesz — to szkoła, którą się siwizną opłaca, ale zda ci się kiedy moje słowo, jeśli je zapamiętasz.

Tu pani Taida przypomniała sobie pannę Wandę i dodała:

— A ostrożnie z amorami, bo to ci plany zupełnie pokrzyżuje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KILKA UWAG

dla obierających sobie powołanie.

(Dokończenie).

Psychologicznie biorąc rzeczy, dusza proletaryusza intellektualnego chylić się tylko może w jednym z dwóch kierunków: ku serwilizmowi, albo ku rewolcie nieuchronnej. Albo zhańbiony, albo zrozpaczony! Profesor kolegium na prowincyi, jeśli jest obarczony rodziną, chwyta się pracy wszelkiej po godzinach szkolnych, pracuje nieledwie że fizycznie, a głupi mieszczuch, który go spotyka w bluzie, urąga nędzy i plecie dyby smalone o poniżeniu nauki w jego osobie.

Proletaryat intellektualny składają ludzie, którzy dlatego właśnie, że się chwycili wolnych zawodów swoich, powinniby w społeczeństwie przedstawiać pierwiastek niezależności, a tymczasem praktyka zmusza ich do służalstwa. Przysposabiając się do zawodu, wychodzą oni z założenia najszlachetniejszego; wszystko co ich otacza mówi im: „bądźcie dumni—bądźcie niepodlegli—bądźcie bezinteresowni.” Ot, co robi praktyka z temi wskazaniami szacownemi!

Z punktu zapatrywania fizyologii, skazani są proletaryusze intelligencyi nieuchronnie, jeśli są ojcami rodzin, na zakładanie gniazd zwyrodniałych. Nie może być inaczej. Brak, niehygieniczne warunki życia, przewaga pracy nerwów nad funkcyami muskulatury, zniechęcenia i rozpacze, ciągną za sobą smutne dziedzictwo, które odbić się musi w pierwszem zaraz pokoleniu.

Jeśli idzie o następstwa w znaczeniu społecznem, złe wychodzi w całej grozie swojej tutaj dopiero. Zubożenie organizmu jednostek zubaża rasę, nędza psychiczna tworzy tylko sztaby rewolucyjne i anarchistyczne, a obok nich wyrastają niby pasożyty nieodłączne: zmniejszenie małżeństw, upadek obyczajów, wzrost przestępstw i zbrodni, i ów nareszcie parazityzm spółczesny, który podkopuje we Francyi moralność na wszelkiem polu społecznego bytu. Ztąd bierze źródło owo powszechne spekulowanie młodzieży na małżeństwie, jako na ostatniej stawce loteryi życiowej—ztąd taki zadziwiający w tej młodzieży brak uczuć, jej oschłość i zimny wyrafinowany oportunizm. Z tego też punktu wyjść będzie musiał kiedyś w zapatrywaniu swojem na społeczność III-ej rzeczypospolitej jej przyszły historyograf. Będą tam jako typy z pewnością: człowiek polityczny, dziennikarz, profesor, adwokat, lekarz, a nawet mąż nauki zeszły niestety do poziomu agenta albo dworaka plutokracyi. I pokaże się, że intelligencya tej epoki, która wyszedłszy z ludu, miała jak jej poprzedniczki swoją młodość normalnie szlachetną, jedynie dzięki zupełnemu zamknięciu przed nią korzyści przynależnych pracy—że ta intelligencya, niezależna niegdyś, sromotnie kapitulowała przed pokusą zbytku i użycia. Tak jest, do tego historyka należeć będzie wykrycie przyczyn: dlaczego ten znakomity deputowany sprzedał swoje przekonania—dzięki jakim wpływom ów utalentowany publicysta sprzedał swoje pióro—za jakim wpływem ten sławny adwokat uległ pokusie i bronił sprawy sromotnie niemoralnej—dzięki jakim pokusom ów lekarz sprzeniewierzył się szczytnemu powołaniu swojej nauki, a tamten głośny uczony posłannictwu swego geniuszu — dlaczego ci wszyscy ludzie kolejno sprzedawali się namiętnościom tłumu, albo interesowi plutokracyi—dlaczego jednem słowem Francya III respubliki zamiast arystokracyi intellektualnej wytworzyła tylko demokratyczne służalstwo na żołdzie pieniądza?

Czy są jakie środki zaradcze przeciwko tej klęsce? — zapytuje w końcu Berenger.

Nie tak łatwo naprawić organizm jak maszynę; o wiele bardziej skomplikowanym jest organizm moralny jednostki od jej ustroju fizycznego, a cóż dopiero powiemy porównywając ustrój zbiorowości z ustrojem indywidualnym. Próżną robotą zupełnie byłoby tutaj czepiać się symptomów, jak to zwykli czynić lekarze małej miary. Zaradzisz jednemu z nich, ukazuje się inny, usuniesz ten, przychodzi drugi—dziesiąty—setny, i tak bez końca, a w rezultacie pozostać zawsze musi jedynie poczucie bezsilności wobec ogromu złego. Mniejsza z tem! — woła Berenger — choćby słaba być miała nadzieja jedynego jakiegoś środka zaradczego przeciw tysiącom dowodów oczywistej niemożebności, i tego ostatniego a jedynego zaniechać się nie godzi.

A najprzód idzie o to, czy ten, którego przeraża wzrost proletaryatu intelligencyi we Francyi, może pomyśleć o jakimś zażegnaniu, albo zatrzymaniu w biegu wielkiej przyczyny dziejowej, która ten ruch wywołała? Czy można wogóle marzyć o przywróceniu korporacyi — unieprzystępnieniu zawodów wolnych ludowi — czy można przyznać prawo wyższego wykształcenia tylko bogatym?

Lekarstwo byłoby gorszem od choroby samej bez żadnej wątpliwości. Francuzkiej demokracyi, opartej na równości i swobodzie myśli, nie można narzucić już dzisiaj żadnych wyłączeń i ograniczeń; nie można jej zaprzeczyć już prawa myślenia, ani prawa stosowania wolności. Jutro w wyższym stopniu jeszcze niż dziś, światło należeć musi i należeć będzie do wszystkich, a konkurencya uzdolnień może tylko wzrastać, wedle przewidywań wszelkich. Od czego byłaby logika dziejów.

Całe to stulecie we Francyi było jedną nieustającą walką ubogich i nizkich o prawo do bytu i wiedzy — przez całe stulecie wzrastały pragnienia, ambicye i uroszczenia ludzkie, a ten straszny proletaryat, na który patrzymy dzisiaj, to już tylko pozostałość niezmiernego ognia pożądań ludzkich, roznieconego przez wielką rewolucyę — to nieustanna lawa wulkanu ciągle wybuchającego.

Ktoby pomyślał z ludzi o zatrzymaniu wulkanu?

Czy możnaby zatamować niektóre kanały, którymi dobywa się wrzący potok — zażegnać pojedyncze przyczyny? A więc zmniejszyć nadprodukcyę uniwersytetów, reagować przeciw dążeniom biurokratycznym — podnieść zyski zawodów wolnych?

Pozornie wydaje się, że na tak zlokalizowanych ranach operacya chirurgiczna byłaby możebniejsza, ale skutku z tego niktby ocze kiwać nie mógł. Ani przypuścić nawet wolno myśli zmniejszenia liczby uniwersytetów, w chwili, kiedy się wszyscy dopominają ich pomnożenia. A i umotywować podobne żądanie byłoby trudno niesłychanie, bo jeśli jest zbytek studentów, to za to na nadmiar uczonych skarżyć się przecież Francya nie może. Zresztą wszak nie sposób wystawić sobie wolnej respubliki bez szeroko otwartych podwoi uniwersyteckich, a przytem jakby to trudno było przekonać ogół, że liczba nie stanowi siły, że owszem przepełnienie ciągnie za sobą nieuchronnie obniżenie się nauki, a niewątpliwie że tak właśnie stoją te sprawy. Tu trzebaby raczej wzmocnić uniwersytet przez oczyszczenie go z tych pół-intelligencyj — z tych łowców na dyplomy, ale jak tego dokonać?—zapytuje Berenger.

Niektórzy politycy przebąkują o zmniejszeniu burs. W odpowiedzi na to jest argument pierwszy, że cyfra ta w stosunku do ogółu studentów jest bardzo drobna, a co ważniejsza, że ci bursiści to sól uniwersytetów. Z pomiędzy nich wychodzi właśnie to wszystko, czego kraj potrzebuje; oni to siła młoda, to prądy narodowego organizmu, naj zdrowsze i najbujniejsze. Ale jeśli chodzi o odrzucenie, to odrzucać te mierności wszystkie, tę średniość całą upędzającą się za ulgą w służbie wojskowej, albo co rychlej skasować samą ulgę. W dalszym ciągu zniechęcać kandydatów niepowołanych ciągłem wykazywaniem wielkiego natłoku do stanowisk i przekonywać ich tym argumentem, że ze swoimi umysłami przeciętnymi oni tej sieci przebić nigdy nie zdołają. A wreszcie utrudniać egzamina bachalaureatu ile się tylko da, tak, aby raz przecie pojęły te mózgi, że do nauczania wyższego dostęp otwarty być winien tylko dla uzdolnień wyższych.

To środek bardzo bolesny, ale jedyny, a przytem dajcie inny jeśli macie. Niechaj uniwersytet wystawia prawdziwych uczonych, prawdziwych lekarzy, a niechaj raz przestanie produkować tę nędzę, która zalewa Francyę.

Rolnictwo, przemysł, handel tracą adeptów z roku na rok; te zawody wolne i te urzędowania nęcą i pociągają niezmiennie, zabierając wszystkie siły i wszystkie soki żywotne narodu.

Oto i wszystko prawie, co przeciw tej klęsce wystawić może pomysłowość dzisiejszego człowieka, kończy Berenger. Rzut oka na to, co się dzieje poza granicami Francyi naprowadza na myśl, że jest jeszcze inna przyczyna — przyczyna pierwsza, najważniejsza, po usunięciu której możnaby dopiero właściwie zacząć rozmyślać nad dziełem reformy. Niestety, o usunięciu jej mowy nawet być nie może. Wielki winowajca tego przesilenia to militaryzm.

Jakaż ztąd nauka dla nas, którzy bezpośrednio takim proletaryatem dotąd zagrożeni nie jesteśmy?

Nauk jest właściwie więcej niż jedna, ale zacząć nam wypadnie od tej, którą nam szepcze prosta, zwyczajna roztropność mieszcząca się w łacińskiem przysłowiu: *Hodie tibi cras mihi*, a w polskim jego przekładzie: „Co komuś dzisiaj, to mnie jutro.” Jakoż nadzwyczajnie przewidującym być nie trzeba, żeby i u nas zrodzić się mogły pewne co do przyszłości obawy, bo i u nas niepospolicie ubiegają się ludzie za tak zwanemi powołaniami zaszczytniejszemi, bez względu prawie żadnego na to, jakie są na przyszłość dla nich na gruncie naszym widoki.

Ciągle dotąd łączymy ideę wyższego udoskonalenia umysłowego z bytem naszym materyalnym, a to jest rzecz wielce niepraktyczna—ciągle stronimy od zajęć chlebodajnych, jakgdyby one niesławę za sobą ciągnęły. A tymczasem wątpliwości niepodlega, że człowiekiem światłym można być na każdem stanowisku, jeśli mamy w sobie istotne poczucie tego światła, a nie wolno zapominać i o tem także, że możemy wkrótce zostać jednymi, którzy się na tej ziemi bogacić wcale nie będą. Ostatecznie ten kierunek prowadzi także bezpośrednio do zależności, a tem samem do służebnictwa.

Najpierw bytować, a potem filozofować.

Drugą troskę, której się przy rozważaniu tego stanu rzeczy opędzić nie można, stanowi kobieta z jej naukowemi aspiracyami i jej chęcią wtargnięcia do urzędowań i zawodów, dotąd mężczyźnie tylko dostępnych. Ten właśnie a nie inny wzgląd skłonił nas do szczegółowego za autorem francuzkim roztrząśnięcia istotnego stanu nadprodukcyi uzdolnień naukowych, przyczyn które ją wywołały, i następstw, których świat ma prawo po niej oczekiwać w przyszłości. Obraz tego co jest już dzisiaj, mamy przed sobą, aż nadto niestety wymowny.

A więc w ten wrzątek, w ten nadmiar i w tę niedolę wstępuje dzisiaj kobieta ze swoim dajmy na to dyplomem naukowym, i ze swojem chociażby wyższem nad średnie uzdolnieniem umysłowem. Wstępuje w fazie zaostrzonej w najwyższym stopniu konkurencyi, swoją osobą podnosi tę konkurencyę, i obniża jeszcze z natury rzeczy zyski w tych profesyach wolnych, te właśnie zyski, o których podniesienie idzie koniecznie Berengerowi.

Zaiste żeby powiedzieć sobie: Tam gdzie zatonęły tysiące, wypłynę ja — gdzie tysiące oczekują daremnie, ja się doczekam — gdzie tysiące są komparsami zaledwie, ja się podniosę nad powszedniość — żeby to wszystko powiedzieć sobie, potrzeba chyba być posłusznym głosowi genjuszu własnego, albo... albo podszeptowi wygórowanej miłości własnej.

A. S.

PAN STACHURSKI.

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

(Ciąg dalszy).

Przy śniadaniu, wpatrując się bliżej, dostrzegam coraz wiecej podobieństwa między Stachurskim i Rakowską. Nietylko usta i nos — oczy również te same, zielonawe a bystre, tylko u starego już poblakłe i zmęczone, kiedy u młodej aktorki świecą opalowymi blaski.

Trzeba spróbować wyciągnąć Stachurskiego na zwierzenia. Zapalam papierosa, układam się wygodnie na puszystym mchu i zaczynam od niechcenia.

— Nawet pan nie wie, jak mi tu dobrze na wsi, zdala od hałasu miejskiego, od redakcyi, od teatrów...

Stary nakłada tytoń do krótkiej fajeczki i słucha spokojnie.

— Bo to człowiek tutaj wyśpi się, wcześnie pójdzie spać, a w Warszawie włócz się codzień po teatrach...

Mimo pozornej obojętności, widzę, że Stachurski strzyże uszami na słowo „teatr.” I po chwili milczenia pyta trochę niepewnym głosem.

— To pan często bywa w teatrze?

— Naturalnie, prawie codzień, i w rządowych, i w prywatnych. Piszę sprawozdania do dzienników. A teraz, w lecie, tych teatrów do dyabła! Zjechały wszystkie trupy prowincyonalne..

Stary pogrążył się w zadumie, pyka z fajeczki, stalowe oczy utkwiły nieruchomo gdzieś daleko.

— Innych — ciągnę dalej — nęcą znajomości z aktorkami, ale ja mam tego dosyć, znam je wszystkie aż nadto dobrze.

Chyba teraz nie wytrzyma! Gdzie tam! Milczy uparcie, a po chwili wstaje nagle, jakby chcąc przerwać tok własnych myśli, wytrząsa popiół z cybucha i mówi:

— No, chodźmy, panie, trzeba korzystać z pogody, bo zdaje mi się, że deszczu tylko patrzeć.

Jestem przekonany, że moje słowa trafiły w samo serce, i że pragnąłby ogromnie rzucić cały szereg pytań, które mu wiszą na ustach. Ale twarda bestya, woli dusić się sam w sobie.

Ta jego niema zawziętość imponuje mi. Nie chcę posuwać dalej mych badań, boję się, bym nieopatrznem słowem nie rozkrwawił biednego starca. Przez pozostały ciąg polowania Stachurski jest milczący i roztargniony tak dalece, że puszcza bez strzału zająca, który pomknął z kotliny o parę kro-

ków. Mrok wcześnie zapada; w dali, na nizinach, łąki zaczynają parować gęstą mgłą, wilgotny chłód powietrza robi się przejmującym. Trzeba iść do domu.

Na powrotnej drodze spotyka nas drobny deszcz. Zrazu wydaje się, niby silny opad mgły i rosy, ale prędko przemienia się w cienki jednostajny kapuśniak. Podnosimy kołnierze, przyśpieszamy kroku i maszerujemy ostro przez puste pola, które gubią się w niebieskawych oparach. I oto rysują się już kontury parku, zrazu niejasne, niby fantastyczne cienie, potem coraz wyrazistsze. Stajemy u furtki — Stachurski żegna się ze mną. Jestem zdziwiony, bo zwykle odprowadza mię aż do domu i chętnie przyjmuje szklankę herbaty, dobrej dworskiej herbaty, którą ogromnie lubi, więcej niż wszystkie trunki.

— Nie — odpowiada na me pytanie — muszę wracać.

Żal mi bardzo starego, niepotrzebnie poruszyłem dawną ranę, wznowiłem może już uciszony ból. Podaję mu rękę ze szczerem współczuciem, a on zatrzymuje ją w swej szorstkiej dłoni i po chwili wahania mówi:

— A nie spotkał pan tam w warszawskich teatrach niejakiej Rakowskiej?

— Ależ naturalnie — odpowiadam żywo. — Znam ją doskonale!

I widząc jego niespokojne spojrzenia, dodaję:

— Bardzo uczciwa i porządna dziewczyna. Ma talent.

Stachurski wypuszcza mą dłoń, uchyla czapki.

— Do widzenia!

I oddala się szybko, a ja stoję przy furtce i patrzę, jak jego wysoka sylweta, o zgiętych w kabłąk plecach gubi się zwolna w mglistym mroku, niknie wreszcie...

* * *

Boże drogi! Gazeta wypadła mi z rąk, co za wiadomość! Wstrząsnęła mną tak, jak gdybym stracił kogoś blizkiego. Biorę dziennik jeszcze raz do ręki i znowu czytam:

„W dniu wczorajszym, w skromnym numerze hotelu kijowskiego, znaleziono bez życia młodą kobietę. Koło łóżka stała niedopita flaszeczka z cyankiem potasu. Przy sprawdzaniu tożsamości zwłok okazało się, że samobójczynią jest młoda artystka teatru „Alhambra," Marya Rakowska. Krąży wieść, że powodem rozpaczliwego postanowienia był zawód w miłości, również jak wykreślenie Rakowskiej przez dyrekcyę teatrzyku z listy artystów."

Co za dramat! W życiu wielkiego miasta takie dramaty zdarzają się nierzadko, ten jednak sprawił na mnie wyjątkowe wrażenie. Bo ja sobie zdaję doskonale sprawę z przebiegu. Ten łotr Wierczewski, znudzony dziewczyną, rzucił ją z dnia na dzień na bruk, bez grosza. Taki pan nie robił sobie z pewnością żadnych skrupułów. Zapewne jeszcze postarał się by ją usunęli z teatru — gdzie zresztą nie potrzebowali jej wcale. I cóż biedactwo miało uczynić? Z piętnem swej hańby do ojca wracać nie chciała — to był z pewnością równie twardy kark. A jakże żyć dalej, bez środków, wobec utraty wszelkich podstaw moralnych?..

Ale Stachurski! Jak on to przyjmie!

Biorę znów gazetę i spostrzegam jeszcze wzmiankę.

„Na stoliku obok trucizny leżała otwarta kartka, objaśniająca, że Rakowska umiera z własnej woli, oraz zapieczętowany list do rodziny."

Więc pisała do ojca, który może już otrzymał list. Okropny dramat! Nie miałbym odwagi patrzeć na tego starca, którego ból musi jeszcze zwiększać owo zawzięte, uparte skupienie.

Siennicki jest tak silnie wzruszony, zwymyślał mię od ostatnich za Warszawę, za ten stek zepsucia i zbrodni.

To oburzenie, skierowane do mnie jest trochę komiczne, jednak znalazłem w jego słowach wiele gorzkiej prawdy. Ileż razy my wszyscy mimowolnie przykładamy rękę do takich tragedyi przez naszą lekkomyślną chęć użycia, pragnienie rozkoszy, bez oglądania się na stan duszy biednych narzędzi...

Gospodyni wróciła z wiadomością, że u Stachurskich już wiedzą. Starego nie było w domu, poszedł gdzieś w pole, choć fuzya wisiała na kołku. Siostra była zgryziona i ponura, ale milczała jak grób.

* * *

Dostałem depeszę, wzywającą mię natychmiast do Warszawy. Jestem niemal zadowolony, raz, że już dość tego wypoczynku, a powtóre czuję, że moje polowania ze Stachurskim są już skończone. Nie miałbym serca włóczyć z sobą po polach tego starca, który musi mieć duszę rozbitą i złamaną. Zresztą, jest w tem sporo egoizmu z mej strony. Jego ból choćby najskryciej tajony, działałby na mnie ciągle.

Wyjeżdżam wieczorem — w południe idę do Stachurskiego, żeby się pożegnać. Staję przed chatą Kiełkonia — izba Stachurskich jest szczelnie zamknięta.

— Pan Stachurski poszli z siostrą do miasta — objaśnia mię jakaś dziewczyna.

Szkoda! byłbym chętnie uścisnął dłoń starego! Poproszę panią Emilię, by mu wyraziła mój żal. Ale idąc szosą, na skręcie przy parku, spotykam oboje Stachurskich, wracających do domu.

Przybrani są w odświętne szaty. Podniszczony, starannie na wszystkie guziki zapięty surdut nadaje staremu wygląd dawnego wojskowego, zaś panna Stachurska zarzuciła na szarą suknię jakiś odwieczny szal, na głowie ma kapelusz, przystrojony w wyblakłe wstążki.

Miny poważne i uroczyste, w rękach grube, pożółkłe książki do nabożeństwa. Ale wyraz oczu jest łagodniejszy, w kątach źrenic jakby ślady nie otartych łez.

Niema wątpliwości, wracają z kościoła; przed ołtarzem Najwyższego szukali ukojenia i pociechy. I twarze ich mówią, że modlitwa skruszyła te twarde a uczciwe serca. Biednej Rakowskiej ziemia lżejszą będzie — ojciec jej przebaczył.

Widocznem jest, że mu to łatwo nie przyszło. Takie proste dusze nie dają się obałamucić zwykłymi życiowymi sofizmatami, dla nich uczynek jest albo zły, i zasługuje na potępienie, albo dobry. Lecz ta tragiczna śmierć, te wielkie moralne cierpienia, które musiały przedtem zdruzgotać serce nieszczęśliwej zbłąkanej, wzbudziły litość i przebaczenie.

Wraz z pierwszemi łzami jakiś kamienny ciężar spadł im z duszy! Cierpią z pewnością i teraz, ale ból jest zmiękczony rozczuleniem, smutną tęsknotą, miłością... To już nie zła zmora przekleństwa!

— Przyszedłem się z państwem pożegnać — mówię. — Wracam do Warszawy.

Myśli starego błąkają się tak daleko, że nie odrazu zdobywa się na odpowiedź.

— Opuszcza nas pan...

I stoimy przez długą chwilę w milczeniu. Literalnie nie wiem, co powiedzieć, na usta cisną mi się słowa głębokiego współczucia i zarazem rozumiem, że wszelka pociecha byłaby nie na miejscu. Stachurski jednak odczuwa moje spojrzenia i gdy potrząsa silnie mą dłonią, w jego oczach lśni szczera wdzięczność. Panna Stachurska składa na mokrej szosie ceremonialny dyg.

— Do widzenia!..

St. K.

Anatol Krzyżanowski.

W KOLOŃSKIEJ KATEDRZE.

WSPOMNIENIE.

Lekka mgła poranna zalegała widnokrąg. Słońce, rozpraszając ją, przebijało się stopniowo przez delikatne, przezroczne opary, by roztoczyć nad światem całym, blask swój potężny, a olśniewający. Mgła wszakże, nie dawała za wygraną. Wzmocniona wilgocią, nagromadzoną przez parodniowe deszcze, podniosła się do góry i zbiła w obłok gęsty, o białych, pierzastych brzegach, który zawisłszy po prawej stronie rzeki, stawiał dzielny opór przeciwnikowi. Utarczka ta, krótko jednak trwała. Obłok przepojony światłem, rozstąpił się, i srebrem obramowany, pozwolił słońcu wysłać dwa snopy promieni przeczystych, do słupów ognistych podobne.

Powstała ztąd dziwna gra światła. Lewy brzeg Renu, skąpany cały w jasności słonecznej, błyszczący opalową tęczą rosy, w której drgały dyamentowe błyski, śmiał się rozległą, przepyszną panoramą. Prawy, przytłoczony ową chmurą, srebrem lamowaną, tonął w świetle szarawem, jakgdyby w konwencyonalnej masce przybranego chwilowo smutku. Śmiały się: starożytna, rzymskich

czasów sięgająca Moguncya; błyszczały radośnie wysokie wieże jej katedry; śmiał się cały szereg wzgórz, winnicami pokrytych, kopuły kościołów i czerwone dachy wiosek, bogate w zieleń szpalery drzew, i tory kolejowe; śmiała się błękitno-srebrna wstęga rzeki, wraz z sunącą po niej flotyllą, o żaglach białych, rozpiętych jak skrzydła łabędzie, a niosących statki te, hen, hen, ku Bingen i ruinom Sonneck'u. Płakał Castel, wspaniały Biebrich i Wiesbaden; Wiesbaden szczególniej, zasmucony prawdopodobnie mnóstwem opuszczających go gości.

Wzdłuż przepysznej alei, wiodącej od tej „perły Taunus'u," do przystani na Renie, mknął powóz za powozem, sunął tramway parowy, wagon za wagonem, zwożąc podróżnych, którzy po kilkodniowej niepogodzie, stęsknieni za dalszemi wycieczkami, opuszczali dziś gromadnie Wiesbaden. Ani miasto pałaców, wyrosłe poniekąd kosztem krwi, jaką ruleta wytaczała tu przez długie lata przybyszom, ani bogactwa kurhaus'u, gdzie złotemu cielcowi bito pokłony, ani tonące wśród bujnej zieleni zalotne wille, z których najmniejsza nosi charakterystyczny napis: *Klein, aber mein*, ani szeroka panorama Nerobergu, nie zdołały zatrzymać tych tłumów różnojęzycznych. Pierwszy promień słońca zwyciężył sztuczne ułudy, wywabiając wszystkich nad czarodziejskie wybrzeża Renu.

A pełnem światłem oblane, posiadały one urok niezwykły.

Przed okiem podróżnych roztoczył się podwójny łańcuch wzgórz, już to skalistych i niedostępnych, już winnicami pokrytych, w pośrodku zaś, kapryśna, pogięta w mnóstwo załamów, falująca, srebrno błękitna wstęga. Wzdłuż niej, jak ciemne obramowanie, dwie linie kolei żelaznej, a dalej przepyszne aleje, wiodące od białych murów miast nadbrzeżnych do wiosek, tętniących życiem, lub ruin, niby gniazda orle u skał przyczepionych, — to Ren. Ren, marzenie Francyi, Ren, chwała Niemców, Ren, którego wody w walce zaciętej, o nie toczonej, krwią się już nieraz zarumieniły.

Pomost, rzucony tuż przy parku zamkowym, u stóp murów przedwiecznych, zaroił się tłumem wielojęzycznym. Powozy i dorożki, omnibusy i tramwaje, wszystko to wyrzucało pośpiesznie szeregi gości z Wiesbaden, Frankfurtu, Ems, Soden, Homburga, Nauheimu i innych miejscowości. Fala ta żywa, barwna, na równi z nurtami Renu ruchliwa, rozdzielała się na dwie połowy. Jedna z nich biegła do okienka kasy, by zdobyć bilety; druga zaopatrzona w *Rundreise'y* lub karty Cook'a, podziwiała widok rozległy, opromieniony tęczą, której barwy, sto razy załamane i odbite, paliły się różnokolorowemi iskrami w rozległej, a zmiennej powierzchni rzeki.

— *Neuestes Rhein — Panorama! Neuestes Rhein — Panorama!..* — rozlegał się piskliwy, cienki głos chłopięcy i mały kolporter, syn prawdopodobnie stojącego opodal przekupnia nadreńskich widoków, roztrącał bez ceremonii zebranych, torując sobie drogę tam, gdzie tłum ciekawych najbardziej zwartym się zdawał.

— *Neuestes Rhein — Panorama!* — wołał, podnosząc do góry dużą, czerwoną księgę.

— *Rhein Album!* — zabrzmiał donośnie głos współzawodnika, który jako wyższy wzrostem, rozrzucił równocześnie długą wstęgę kartonu, z fotografiami nadreńskich wybrzeży. Wąż ten papierowy rozwinął się w powietrzu, załopotał niby latawiec i skrzydłem jednem wpadł między typowego Anglika, a młodą wykwintnie ubraną damę.

Syn Albionu, jakby na uciechę karykaturzystów, rudawy, ubrany w tradycyjną, tyle razy wyśmiewaną kratę, ani drgnął. Cały piaskowo bronzowy, od kamaszy aż do korkowego kasku, pokrytego tymże samym materyałem, w jasno-tabaczkową kostkę, Anglik z kraciastym pledem przez ramię i lornetką przy oczach, badał zbyt zawzięcie most, łączący Castel z Moguncyą i forty przez Druzusa podobno wzniesione, aby kartka albumu, łopoczącego mu o głowę, mogła zwrócić jego uwagę.

Dama za to wyciągnęła ku niej rączkę i, ujrzawszy, iż wązki pas panoramicznej fotografii owinął się nieledwie około szyi, otoczonej kratkowanym fularem, zawahała się lekko.

—*Beg pardon* — rzuciła z prośbą, w miękkim, kontraltowym głosie.

Anglik jednak nie słyszał nawet. Dawne *Castellum Magontiacum* pochłaniało całą jego uwagę.

Wtedy przekupień, widząc, iż traci możność sprzedaży, szarpnął albumem, a równocześnie młody, wykwintny mężczyzna pochwycił kartę i unosząc kapelusza, podał ją kobiecie.

Piękna pani cofnęła się o krok jeden.

— Jakto, i pan dziś jedzie? — podjęła.

— A tak — odparł niedbale. — Spleen, przez deszcz wywołany, obrzydził mi Wiesbaden. Kuracya nie zatrzymywała mię na miejscu, więc postanowiłem puścić się w pogoń za słońcem.

— Wszak ma pan je tutaj. Pogoda wraca właśnie.

— Nie, pani — zaprzeczył, wskazując na prawy brzeg rzeki, chmurą przysłonięty i lewy, tęczą okolony, a w jasnych promieniach skąpany. — Moje słońce jest dziś na Renie.

W oczach jego błysnął jakiś płomień, szybko powiekami przyćmiony. Kobieta zarumieniła się lekko.

— *Neuestes Rhein Panorama, drei Mark* — nalegał przekupień, wsuwając między nich album czerwone.

Wykwintny pan zapłacił szybko żądane trzy marki i, odebrawszy album, podał je swej towarzyszce.

Ona zawahała się nieco, poczem również żywo sięgnęła do podróżnej torebki.

— Pozwoli pan...

— Ależ i owszem. Znam wygórowaną drażliwość pani; policzymy się na pokładzie.

Pochylił się i patrząc głęboko w jej oczy dodał:

— Nie będzie to jedyny między nami rachunek...

Tłum zachwiał się w tej chwili, zakołysał i siłą żywiołową popchnął ich ku pomostowi. Mężczyzna, korzystając z tego, wyciągnął ramię, by odgrodzić niem towarzyszkę od napierającej fali.

— *Der grosse Kurfürst! Der grosse Kurfürt!.. Hoch, hoch!..* — wybiegło z piersi dziesiątka.

Witano w ten sposób wielki parowiec, który opuszczał przystań w Moguncyi, by przepłynąwszy w ukos Ren, zabrać podróżnych z Biebrich i Wiesbadenu.

— Radzę się ztąd cofnąć — mówił mężczyzna. — Czasu mamy jeszcze mnóstwo, a przecież my chyba nie będziemy witać statku niemieckiego na Renie.

Silnem ramieniem rozsunął tłum, torując jej drogę ku wybrzeżu.

— Dziękuję — odparła. — Tego samego pragnęłam właśnie; tam bowiem na prawo, stoi ze służącą moja córeczka i pewno boi się o mamę.

Na wzmiankę o dziecku, odcień zniecierpliwienia przebiegł jego rysy. Trwało to jednak mgnienie oka tylko. W chwilę później zwracał się już z uprzejmym uśmiechem do pięcioletniej dziewczynki, stojącej na dużym francuzkim kufrze i mówił:

— *Bonjour, Mademoiselle Ninon.*

Złotowłosa dziecina ściągnęła niechętnie ciemne brewki i w milczeniu oddała mu ukłon. Poczem, klasnąwszy w rączki, zawołała po polsku:

— Patrz, mamusiu, statek! statek, którym pojedziemy.

I oparta o ramię panny służącej, wspinając się na paluszki, utonęła całym wzrokiem w zbliżającym się olbrzymie. Oczy mężczyzny i kobiety pobiegły także w tym kierunku.

Der grosse Kurfürst, wspaniały, buchający parą, pruł śmiało wody Renu. Okrągłe okienka jego kajut paliły się w promieniach słonecznych; publiczność, natłoczona na pokładzie, powiewała kapeluszami i chustkami.

Wzrok czarnowłosego pana oderwawszy się od parowca, zawisł na wykwintnej sylwetce niewieściej.

Wysmukła, o kształtach gibkich i powiewnych, była ona niepospolicie piękną. Postać jej wytworna, nacechowana arystokratycznym wdziękiem, odcinała się żywo od różnorodnego, otaczającego ją zbiorowiska. Spokojne, powściągliwe ruchy, jasno popielaty, w jednym tonie utrzymany, lekki kostyum podróżny, wszystko to, od drobnej ręki, ubranej w duńską, popielatą rękawiczkę, aż do słomkowego kapelusza tegoż koloru, czyniło wrażenie dystynkcyi i wykwintu.

Oko zaś, pociągnięte raz przez tę postać delikatną i wytworną, zatrzymywało się, jakby zdumione, na wieńczącej ją główce.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



KRONIKA.

Zmarli.

Ś. p. *Aleksandra z Chomętowskich Borkowska*, zakończyła Chrześcijański żywot w dniu 24 Lutego r. b. Ś. p. Borkowska to niezaprzeczenie jeden z ostatnich szacownych zabytków epoki minionej. Wierna ideałowi swojego czasu szła z nim wytrwale przez życie, nie tyle może harmonizując się z dążeniami współczesnemi, jak żądać mogło od niej pokolenie niewiast dzisiejszych, ale za to z dążeń własnych nie opuszczając nic mimo spóźnionego wieku, starganych sił i licznych zawodów życia.

Ś. p. zmarła, była niewątpliwie jedną z tych postaci, które otaczają wyjątkowem uznaniem wspólnicy ich wierzeń i przekonań, a którym przeciwnicy nigdy należytego szacunku nie odmawiają. Taka jest potęga i taki wpływ każdego szczerego a wytrwale przez życie dźwiganego brzemienia, podjętego w imię dobrowolnie poślubionych przed laty ideałów.

Urodzona w Usarzewie w Sandomierskiem w roku 1828, z ojca Franciszka Chomętowskiego posła na sejm i Konstancyi z Orłowskich, odebrała wychowanie, jak na swoją epokę bardzo staranne, co jej następnie po doświadczeniu zmian losu dało możność pożytecznej pracy na polu publicystycznem i literackiem. Już w 1850 roku wydała wspólnie z Józefą Śmigielską „Obrazki z życia świętobliwych Polaków i Polek," następnie ukazywały się prace późniejsze, jak: „Wspomnienia z przeszłości," Obrazki dla młodego wieku, „Marya Klementyna," opowiadanie o wnuczku króla Jana, „Powieści i Opowiadania dla młodego wieku" i inne, z których dwie pierwsze doczekały się paru wydań. Od roku 1861 nieprzerwanie aż do ostatnich prawie chwil oddawała się kierownictwu założonego wspólnie ze ś. p. Śmigielską pisma dwutygodniowego: „Kronika rodzinna," które przez długi bardzo czas cieszyło się wyborowem współpracownictwem i odpowiednią wziętością.

Na polu Chrześciańskiej filantropii położyła ś. p. zmarła zasługi znane tym wszystkim, którzy w dziele miłosierdzia bliższy i dalszy udział przyjmują sami, a szczególną przychylnością i opieką otaczała Schronienie paralityków, istniejące w naszem mieście przy ulicy Nowowiejskiej.

Po życiu pożytecznem i długiej męce przedśmiertnej zeszła ze świata, pozostawiając serdeczny żal w kole bliskich, a cześć powszechną społeczności swojej, oceniającej zawsze sprawiedliwie owocność trudu i czystość intencyi tych, którzy walczą o światło i prawdę.

Ś. p. *Władysław Majchrowski*, naturalista, długoletni nauczyciel pensyonatów żeńskich i szkoły technicznej drogi żel. Warsz.-Wiedeńskiej, zmarł w Warszawie 17 Lutego r. b. Był współpracownikiem „Pamiętnika fizyograficznego," pozostawił przytem kilka prac w zakresie specyalności swojej naukowej. Pozostawia po sobie żal szczery przyjaciół i towarzyszów zawodu, a wdzięczność uczniów i uczennic za sumienną i gorliwą pracę pedagogiczną.

W sprawie tanich mieszkań.

Obrady komisyi mającej rozstrzygnąć warunki budowy domów fundacyi pp. Wawelberga i Rotwanda trwają dotąd. Nie można powiedzieć, aby łatwo szło komisyi łączyć warunki zdrowotności z nizką ceną mieszkania. Jeden i drugi wzgląd równie ważny, a więc upominają się projektodawcy technicznej części budowy o swoje, a lekarze hygieniści o swoje. Postawiona zasada, aby dom procentował bądź co bądź, a procentując wytworzył w szeregu lat rozwój przedsięwzięcia, zasada taka z konieczności musi obniżać wymagania hygienistów, którzy przychodzą powoli do przekonania, że wobec wysokiej ceny placów i drożyzny materyałów budowlanych o zadosyćuczynieniu wszystkim warunkom hygieny oczywiście mowy być nie może. Fundatorowie obstają przy tem, aby mieszkania objęły tę kategoryę najbiedniejszych, która miesięcznie nie jest w możności płacić więcej komornego, jak 5 do 6 rubli, i to każdy uzna jako zupełnie słuszne. O osobnych kuchniach tedy nie można już marzyć, co pierwotnie leżało w założeniach hygienistów. Ostatecznie zdecydowano, żeby w każdym budynku pokombinować mieszkania większe i mniejsze, t. j. lokale o kuchni i sypialni oddzielnej z lokalami o sypialni a w niej kuchni. Taki też plan ma ostatecznie wypracować komisya techników. W każdym razie przy wentylacyi szerokich korytarzy, przy kanalizacyi, która jest przyjętą jako podstawa, postęp zdrowotności w stosunku do suteryn i poddaszy dotychczasowych, jest i tak bardzo znaczny, a co do reszty względów musi sobie komisya powiedzieć, że do niepodobieństw nikt zmuszonym byc nie może.

Pogotowie ratunkowe.

Sekretarz zarządu Pogotowia ratunkowego dr. Józef Zawadzki takie dał w sprawozdaniu swojem cyfry, dotyczące działalności tej instytucyi za ubiegły miesiąc Styczeń roku bieżącego. Wpływów w wzmiankowanym okresie czasu było rubli 1,051, a wydatki wynosiły summę 2,120 rs. Dochód z balu wynosi wedle dotychczasowych przybliżonych obliczeń 3,000 z górą rubli, kasa zatem prowizorycznie będzie zasiloną. Odczytano zawiadomienie p. o. General-Gubernatora Warszawskiego, który zalecił policyi wykonawczej obowiązkowe wzywanie pomocy Pogotowia w wypadkach ulicznych, i nie inaczej jak przy pomocy instytucyi dostawianie chorych do szpitali miejscowych. Pogotowie w ciągu m. Stycznia wzywane było 210 razy, przyczem udzieliło pomocy 138 mężczyznom, 44 kobietom, 116 dzieciom. Wypada zatem zawsze jakieś przeciętnie 7 razy na dzień zapotrzebowanie pomocy.

Nowa gałąź przemysłu.

Sekcya pomologiczna przy warszawskiem Towarzystwie ogrodniczem zwróciła uwagę swoją na widoki rozpowszechnienia, jakie zyskują wskutek wprowadzenia monopolu w Królestwie, wina wyrabiane z owoców. Na ostatniem posiedzeniu sekcyi, ogrodnik p. Girdwoyń przedstawił zebranym wina owocowe wyrobu p. Lisieckiego w Skierniewicach, a mianowicie: pożyczkowe, agrestowe, wiśniowe, malinowe, jabłeczne, które przez członków sekcyi uznane zostały jako zupełnie dobre. Nie mniejsze uznanie zdobyły wina p. Iwanowskiego, a w konkluzyi zwrócili uwagę pp. Jankowski i Rycerski, inżynier, na konieczność zajęcia się energicznego tą sprawą, ponieważ produkcya win owocowych jest właściwie mówiąc, u nas w zawiązku dopiero, cierpi przytem na brak uorganizowanego zbytu, co z konieczności utrudniać musi rozwój i zniechęca do produkcyi. A tymczasem widoki powodzenia ma umiejętna fabrykacya win owocowych w kraju naszym niezaprzeczone, tembardziej, że i o środkach obznajmienia się technicznego z wyrobem, pomyślały już szkoły ogrodnicze.

Curiosum.

Jedno z większych pism naszych codziennych podaje wiadomość, że bawiący w Warszawie jako agent handlowy mieszkaniec Władywostoku, jakiś p. Kr. poznał w tłusty Czwartek na wieczorze tańcującym pannę M., o którą w Sobotę przedstawiony uroczyście (? jak twierdzą) się oświadczył, a wyznawszy że musi w Środę Popielcową miasto nasze opuścić, zaproponował, czyby nie mógł opuścić go jako szczęśliwy nowożeniec. Były (?) niby trudności, ale pan agent tak bardzo prosił, że mu rodzice panny nie mogli oczywiście takiej drobnostki odmówić, zwłaszcza, że ten pan *miał papiery w porządku*, a wskutek tego indult dał się wyrobić na poczekaniu. Nowożeńcy tedy uszczęśliwieni opuścili Warszawę w pierwszy dzień postu, a to wszystko miało się odbyć, jak opiewa pismo, z którego korzystamy, *iście po amerykańsku*.

Czy to leży w obyczajach amerykańskich, twierdzić nie możemy, bo tych obyczajów nie znamy, za to znając nasze własne, śmiało powiadamy, że to nie jest po naszemu, t. j. po polsku, podobnie jak nie po naszemu jest podawać w śmieszność jeden z najważniejszych aktów w życiu człowieka, jakim jest akt małżeństwa. Taki jest pochop szczególny do ośmieszania wszystkiego, co poważne, w tem piśmiennictwie naszem peryodycznem, że zdumiewać się istotnie przychodzi. Bo jeśli to fakt autentyczny, to przecież mógł on uasunąć sprawozdawcy inne zgoła myśli, niż te, jakie zdradza jego nastrój typowo-karnawałowy.

W ten sposób mówiąc tak upowszechniając objawy rzeczywistego upadku obyczajów naszych, zdradzamy bankructwo duchowe, połączone nadto z niepojętym jakimś brakiem samowiedzy i zmysłu rozróżniania spraw wesołych i śmiesznych od smutnych i grzesznych zarazem.

Operetka i to operetka nie na trzeźwo.

Wskazówki i rady.

Śledzie marynowane z musztardą, tak zwane (mops heringe).

Dobre śledzie namoczyć na 36 godzin, po wymoczeniu obetrzeć z wilgoci bibułą -- oczyścić środek, obciąć głowy, zdjąć skórę, rozpłatać i wyjąć kość środkową. Każdą połowę śledzia tak przygotowaną rozpłaszczyć nożem szerokim, nasmarować cienko francuzką musztardą i zwinąć napoprzek, tak, iż każda połowa uformuje gruby zwinięty kawał, który przy podaniu przekrawa się na połowę. Ułożyć te śledzie w słoik kamienny, przekładając angielskiem zielem i pieprzem w całości, oraz gdzieniegdzie liśćmi bobkowemi. Tak szczelnie ułożone polać dobrą oliwą, bo ze złych rzeczy nic dobrego wytworzyć nie można, tak aby śledzie były nią pokryte. Są to wyborne śledzie, które u nas sprzedają w składach delikatesów, sprowadzane z zagranicy. Można je trzymać w piwnicy lub chłodnej spiżarni parę miesięcy.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Teofil Pycz. Miodowa 4. Odnawianie i reper. wyrobów platerowanych i bronzowych. 819—50—2

Lek. Den. **Marya Linda,** Marszałkowska 95. 724—20—10

Lekarz-dentysta Frejdkin, Senatorska Nr 28 lub 30 (gdzie „Kuryer Poranny") od 10 – 6. 731—26—10

Lekarz-Dentysta Aleksander Zawadzki, Aleja Jerozolimska 49, róg Marsz. od 9—2 i od 4½—6 761—25—7

Dentysta L. GOLDBERG, Marszałkowska 94. 755—24—7

Dentysta JAN PRZYBYLSKI, Aleja Jerozolimska Nr. 43. 782—26—10.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami. Na prowincyę dołącza się cennik nasion „Ogrodnika Polskiego."

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-13

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13

MAGAZYN BŁAWATNY

J. GRUCZYŃSKIEGO I SKI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 7.

poleca:

Wielki wybór Wełn jasnych, Muślinów, Tiuli i Jedwabi, od skromnych do najstrojniejszych Adamaszków. „Gaze Liberty" na suknie plisowane.

583-30-30

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI

M. TENCERA

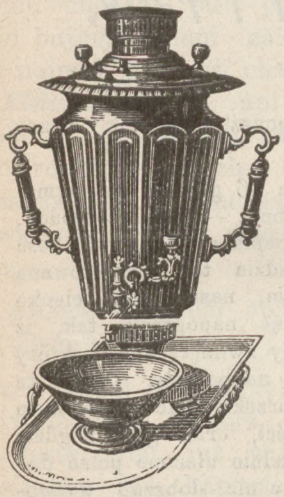
WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 34

Fabryka Pończoch i Trykotaży

Z. MENTZEL

9. Ś-to Krzyzka 9.

Poleca własne wyroby w najlepszych gatunkach na sezon obecny.
Wybór wielki. — Ceny bardzo nizkie: 588—20—20



HERBATĘ,

SAMOWARY,

717-3-3

Tace, Noże stołowe, Maszynki do kawy, Szczoty i t. p.

poleca

M. MASZKOW.

SKŁAD

Krakowskie-Przedmieście № 23,
róg Trębackiej, w Warszawie.

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich

ALOIZY LUDWIG

W WARSZAWIE. 790-12-5
Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119.

Magazyn Sukien Damskich

J. Kochańskiej

Hoża Nr 8. 811-6-4

wszelkie obstalunki wykonywa podług najnowszych żurnali.
Ceny umiarkowane.

Nowootworzony Magazyn

Braci JACOBSOHN, *Długa 53*, poleca

803—13—6

KWIATY

sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—11

REKOMENDACYA SŁUŻBY.

Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Plac Zamkowy Nr 91, róg Podwala**
bez wpisowego
a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem
820—12—2 **S. Karasiewicz.**

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-3

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **Kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek" **Polsko-Niemiecki,** kurs wstępny **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35; — kurs I-szy kop. 60,—kurs II-gi kop. 1.60, — komplet (oba kursy) kop. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2.70.

„Samouczek" **Polsko-Francuski,** kurs I-y 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuska 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

Kurs I-y z drugiej edycyi w całym tomie kosztuje rs. 1 k. 20 (pocztą rs. 1 k. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka" Francuskiego** wprost **od autora,** otrzyma jako **bezpłatne premium** dzieło wartości rs 1 k. 20.

„Samouczek" **Polsko-Angielski** kurs I-szy kop. 75,— kurs II-gi kop. 1.20, komplet kop. 1.70.

„Samouczek" **Polsko-Ruski** z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop (pocztą 13 kop.).

„Samouczek" Francuski i Ruski został opracowany i wydany tylko wskutek usilnego domagania się Szan. Publiczności i pp. Pedagogów.

Amerykański **Przewodnik** z rozmówkami angielskiemi, wydanie II-ie znacznie powiększone, 50 kop.

„Samouki *Wielcy ludzie*", t. j. 33 życiorysy najsławniejszych ludzi z 16 rycinami, 80 kop., w oprawie rs. 1 k. 50.

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich, wieszcz nieśmiertelny, bożyszcze narodu madziarskiego, poeta nad poetami. Kop. 70, opr. rs. 1 k. 20.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15, i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla. — Skład u autora **(Reussnera),** Złota 6, Warszawa. 796—11-4

Nowi prenumeratorzy

„KURYERA CODZIENNEGO"

otrzymają bezpłatnie początek drukującej się powieści Emmy Jeleńskiej ***„Panienko"*** i początkowe arkusze romansu Gyp'a ***„Baron Sinai"***; po opłaceniu kwartalnej prenumeraty otrzymają jako premium 1-szy tom ***Poezyj Mickiewicza***, a po opłaceniu całorocznej prenumeraty cztery tomy ***Poezyj Mickiewicza*** bezpłatnie. Cena miesięczna kop. **50**, z przesyłką pocztową kop. **75**. Krakowskie-Przedmieście № 17. 807—8—5

Krucza 19, m. 21.

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

W. Bednarskiej,

Wykończanie sukien eleganckie, prędkie i tanie. 809—6—4

Za dozwoleniem Gub. Urzędu Lekar № 149/ 879
na ogólnych zasadach handlu.

BELLARINA

Środek dla przywrócenia siwym włosom pierwotnego koloru. 824—4—1
Dostać można we wszystkich **Perfumeryach, Składach Aptecznych i Zakładach Fryzyerskich.**
SKŁAD HURTOWY u
M. CWIERDZIŃSKIEGO
ulica Nowolipie № 12.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia

W. KALINOWSKI

Wspólna Nr. 15 785-50-1

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien

J. Królikowskiej

Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-1

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
jedynie nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs**
Pudełko kop. 15, 30 i 50
708—20-12

PRACOWNIA

Konfekcyj Damskich

Złota 25, mieszkania 6 (front).
Przyjmuje obstalunki oraz wykonywa gotowe fasony z własnych materyałów od 18 do 25 r.
745-12

Fabryka Kwiatów sztucznych

Wróblewskiej

Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—4

NOWY ZARZĄD

CZYTELNI DLA KOBIET

Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—
Wysyłka na prowincyę.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—4 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Февраля 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK**

70226'2

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

On patrzał jej na samo dno serca, podobnie jak ona cały wielki, jasny jego charakter pojmowała. Myślała teraz o donie Clemente z zupełną i świętą ufnością, którą względem niego zawsze żywiła, i nieokreślona pociecha, która ją opanowała, gdy Suntarella wymówiła imię jego przed chwilą, jęła teraz wyraźniejszych nabierać kształtów.

— Tak, on mnie wysłucha—rzekła sobie pocichu i uśmiechnęła się. Rozmyślała jeszcze chwilę, potem zaczęła pisać:

— Gdyby umierający z głodu padł na twym progu, ojcze, wahałżebyś jedno okamgnienie, czy przyjść mu w pomoc? Wiem, że nie. Nie namyślałbyś się z pewnością, nie zastanawiał się nad tem, jakie będą następstwa twego dobrego czynu. A ten człowiek—kto wie?—mógłby później stać się może twoim wrogiem! Ale gdybyś to nawet z góry wiedział, nie zwróciłbyś na to uwagi, ratowałbyś go. Toć znam cię, ojcze; gdyby nie to, jakżebym się odważyła do ciebie teraz się uciekać, do ciebie o pomoc wołać? Posłuchaj mnie. W mocy twej, don Clemente, leży na chwilę los, smutny los dwojga nieszczęśliwych. Los człowieka, którego kocham, i los mój. Jesteśmy nieszczęśliwi, ale nie oddałabym swych łez, bólu swego za całe szczęście świata, w którym by miłości nie było! Miłość! Jakże odważam się z tobą o niej mówić? Poprostu dla tego, że znam ciebie ojcze, a ty mnie. Don Clemente, wiem, jak wysokie masz o niej pojęcie, a z tego, że o niej z tobą mówię, sądź, jak wysokie pojęcie o niej mam ja. W okamgnieniach śmiertelnego niepokoju znikają wszystkie względy, cała drażliwość i delikatność, nie dziw się, ojcze, przeto mej śmiałości, gdy tak do ciebie zawołam: Wiem, że kochałeś w młodości swej, a kochałeś wówczas, jak ja dzisiaj, całą duszą, każdą myślą. Przemogłeś wszystko, wiem to również, kochasz Boga i bliźniego. Wiem, że jesteś doskonały; doskonały, bo znasz słabość ludzką, a będąc silnym, masz jednak dla niej litość i współczucie. Słabość! Ach, toć to jest siła, to, co się zwie słabością! Przynajmniej dla nas biednych kobiet. Powiedziałam, że kochasz Boga. Ja tego nie potrafię tak, jakbym pragnęła i jak to umiesz ty. Tej miłości Bóg widać chciał od ciebie, skoro potężną dał ci duszę, ode mnie chce miłości dla tego swojego tworu, który stał mi się wszystkiem. Bóg powierza nam miłość, niby zdolność najświętszą i pyta na końcu, cośmy z tym powierzonym skarbem uczynili. Jest ona i jego samego najdroższą cząstką i—tem jedynem, co z nami ma wspólnego.

Don Clemente, pamiętam, żeś mi to kiedyś zacytował, a potem jeszcze coś z innego średniowiecznego teologa, gdyś mi mówił o miłości do Boga. Nie mogę słów tych nigdy zapomnieć.—Jakżeś mocna, o miłości— woła ów mąż, którego imienia sobie nie przypominam—jakżeś potężna! ty jedna podołałaś ściągnąć Boga z nieba na ziemię, a człowieka podnieść z prochu ku niebu!

Ach, don Clemente, takie tedy są pojęcia moje o miłości. Daruj mi, jeśli piszę bezładnie, nie zwracaj zbytnio uwagi na słowa moje, nie sądź ich surowo, nie badaj, nie rozbieraj, gorączka mną miota, czuję to, choć zda mi się, że jestem spokojna. Obawiam się, że bluźnię Bogu. Ale on jest miłosierdziem najwyższem, zmiłuj się i ty, ojcze, jak on!

Don Clemente, człowiek, którego kocham, tak kocham, że wszystko, com tu napisała, słabem jest jeno tego, co czuję, odbiciem, człowiek ten umiera. Znasz go, ojcze. Nie. Nie znasz go. Widziałeś go tylko. Nie znasz jego duszy i nie wiesz, jaki jest nieszczęśliwy. Otóż człowiek ten umiera i nie ma nikogo na szerokim świecie prócz mnie, mnie i tylko mnie. A teraz chce ztąd odjeżdżać, i ja nie miałabym, nie mogłabym być przy nim! Ostatnie jego westchnienie, ostatnie jego spojrzenie widzieli, słyszeli by ludzie obojętni gdzieś w Rzymie, w jakimś szpitalu, może ludzie twardzi, brutalni — ach, nie zdołam skończyć myśli... I dla czego stać się to ma? Ponieważ donna Paolina urażona w próżności swej poniżyła nas oboje, albo przynajmniej starała się poniżyć w sposób wprost niegodny. Straszna ta kobieta grozi mi jakiemiś prawami, które dają jej władzę podobno przemocą mnie ztąd, jako wychowankę swojego męża, uprowadzić. Pobyt tego człowieka pod moim dachem jest podobno zgorszeniem publicznem. Może być, iż jej się nie uda, iż próżne to groźby, ale udało jej się teraz już jedno: zbudzić niepokój w jego duszy. Robi sobie wyrzuty, nazywa siebie samolubem, gwoli mnie lęka się tych knowań donny Paoliny i konający, chce oto wynosić się ztąd — aby mnie dalej nie kompromitować.

A teraz posłuchaj, ojcze, czego od ciebie żądam, a żądam tego od ciebie właśnie, ponieważ uważam cię za najlepszego człowieka na ziemi. Przyjedź tutaj i zaślub mię z Janem Maryą. Żądam w ten sposób, abyś jako ksiądz, grzechu przeciw swym obowiązkom się dopuścił, nie przed Bogiem wszakże dopuścisz się go, ojcze. Mam o prawach słabe nader pojęcie, ale wiem jednak, że nie wolno ci dać ślubu tak nagle dwojgu ludziom bez—nie wiem, jakiego—zezwolenia i bez— nie wiem, czyjej — zgody. Nie wiem także, jaka grozi ci kara, jeżeli tak dalece zawinisz przeciwko przepisom; ale przez pamięć o tej wielkiej, idealnie świętej, nieskończonej miłości, która była snem twojej młodości i treścią całego twego życia, przez podniosłość twej ogromnej, nieogarnionej miłości ku Bogu, zaklinam cię, ojcze, przyjedź natychmiast i spełnij mą prośbę! Dla tego wielkiego, podniosłego obowiązku miłosierdzia, zgrzesz przeciwko owej mniejszej, nie przez boskie, ale przez ludzkie prawa włożonej na cię powinności! Wiem także, że we Włoszech tylko związek cywilny ma znaczenie prawne i publiczne. Ale tu nie chodzi mi o publiczność, ani o prawa. Gdy zostanę z tym, którego kocham, przed Bogiem zaślubiona, prosić cię jeszcze będę, ojcze, abyś oznajmił to natychmiast donnie Paolinie. Znam ją i jej cześć dla kościoła, lub - lepiej mówiąc — dla wysokiej hierarchii; od chwili, gdy się dowie, że związani jesteśmy ślubem kościelnym, nie będzie nam już zakłócała spokoju, nienawidzieć nas tylko będzie. Powstać przeciwko kościołowi, to jej nawet na myśl nie przyjdzie. Owszem, wymoże nawet potem z pewnością na mężu swoim zezwolenie na związek cywilny—ale o to już nie chodzi. Chodzi tylko o to, aby ten, którego kocham, jak snadź Boga jedynie winniśmy kochać, mógł umrzeć w spokoju i nie został wyrwany z mego objęcia. Oto wszystko—więcej nic nie mam do powiedzenia. Rozważ, ojcze, następstwa, jakie krok ten może mieć dla ciebie, i gdyby kara, którąby na ciebie spaść miała, była zbyt surowa, gdyby większa była, niż twoje nade mną miłosierdzie, w takim razie nie odpisuj i nie przyjeżdżaj sam. Poszlij nam tylko księdza, któryby umierającemu ostatniej udzielił pociechy. Milczenie twoje będzie mi znakiem, że prośby mej spełnić niepodobna. Jeśli się wszakże nie łudzę, jeżeli jesteś, ojcze, tym, za którego cię mam, w takim razie oczekiwać cię będę i ze wschodzącem spodziewam się ujrzeć słońcem!

Caterina pisała jednym ciągiem, prędko, w cichej gorączce, która podczas pisania ją ogarnęła, i złożyła list, nie przeczytawszy go nawet. Zadzwoniła i oddała go Francescowi. Potem padła na kanapkę, i teraz dopiero uczuła, że śmiertelnie była znużona. Myśli jednak trapiły ją jeszcze długo. Wszystkie męki niepewności budziły się teraz pomału. Czy przyjedzie don Clemente? Czy zadośćuczyni jej prośbie? A jeśli tak zrobi, jakie z tego wynikną dlań następstwa? Zaczęła sobie robić wyrzuty. Postąpiła była jak tonący, który chwyta się brzegu. To było jej usprawiedliwieniem... Wyszła na taras, cienie padały już głębokie, a na zmroczonem niebie zaczynały wykluwać się słabo drobne gwiazdeczki. Zmrok i świeży wietrzyk orzeźwiły i uspokoiły ją poniekąd, serce biło jej mniej gorączkowo, twarz palić przestała; zeszła powoli do pokojów Jana Maryi. Uczuła pociechę, usłyszawszy i zobaczywszy, że cicho śpi. Położył się już był do łóżka. Myślała, że sen go pokrzepia, nie przeczuwała, że gorączka to odurzała go, cicha, ale żrąca, i że płomyk jego żywota powoli, ale stopniowo dogorywał.

Gdy Francesco w nocy już od dona Clemente powrócił, czuwała jeszcze z Suntarellą w pokoju obok sypialni chorego.

— Masz odpowiedź?—szepnęła Caterina w korytarzu, gdzie Francesco na nią czekał; wzburzenie i niepokój nie dały jej głośniej przemówić.

— Nie—rzekł Francesco—dona Clemente nie było w domu, odjechał dokądś i nie mogłem się go doczekać. Pomyślałem, że mogę być tutaj potrzebny i zostawiłem list.

— Dobrze—odpowiedziała z jakąś ulgą wewnętrzną. W ten sposób nie było przynajmniej pewności, że prośba jej nie została wysłuchana.—Idź spać—rzekła mu po chwili.—

Dziś czuwać będzie Suntarella. Obudzi nas, gdyby była potrzeba. Mój biedny Francesco, jakiżeś ty znużony!—Uścisnęła starca.

Ale Francesco nie poszedł spać, siedział z Suntarellą długo, długo w pokoju chorego.

Jan Marya zbudził się mniej więcej we dwie godziny po odejściu dziewczęcia, zażądał wody, napił się i po chwili zapadł znowu w ten letarg głęboki, który łudzące zdrowej drzemki robił wrażenie.

Nad ranem miał wyraźny sen. Zdało mu się, że był w Hawranicach. Wszystko było tam, jak za dawnych czasów, leżał w swoim dawnym pokoju, a gwiazda poranna spoglądała na niego z za okna. Obok jego łóżka siedziała matka.—Ach, przyszłaś nareszcie! — rzekł jej tak bez wszelkiego zdziwienia, jak się zazwyczaj we śnie dawno zmarłych wita.— Gdzie byłaś tak długo?—Oczy jej pełne były tajemnicy, a coś tak strasznego, nieznanego błyskało z jej spojrzeń, że zadrżał.—Tyś przyszła po mnie! — krzyknął, i nagle zdało mu się wyraźnie, że leży w grobie i że ona to tam go trzyma... Chciał jej się wyrwać, chciał uciekać, ale trzymała go mocno, pewnie. Jęknął tak głośno, że się zbudził. Sen rozpłynął się w oka mgieniu, ale przerażenie zostało i dobra przeszła chwila, zanim zupełnie się opamiętał.

— Boli pana co—spytała Suntarella, która na jęk doń podbiegła.

— Nie, nic — odpowiedział — był to tylko sen przykry.—I odwrócił się do ściany. Było mu żal niezmiernie, że lęk uczuł przed matką, robił sobie wyrzuty długo, długo, aż usnął znowu. I miał drugi sen, znowu o niej. Tym razem siedziała na swem łożu śmiertelnem, trzymała go za głowę obiema rękami, wpatrywała się weń z błogością niewymowną i szeptała jak wówczas: — Dziecię, będziesz szczęśliwy... — Zbudził się mocno wzruszony, chciał zapanować nad swemi uczuciami, ale nie mógł powstrzymać się od łez. Kontrast ostatnich słów matczynych, z losami całego jego życia był taki ostry! Wybuchnął płaczem rozdzierającym. Tłumił go, aby nie usłyszano, i schował głowę w poduszkach.

— Są to ostatnie moje łzy—rzekł sobie cicho na usprawiedliwienie—ostatnie.

A gdy płynąć mu z ócz przestały, zaczął rozmyślać.

— Zauważyłem kilkakrotnie—rzekł sobie— iż według opowiadań naocznych świadków, którzy otaczali łoża umierających, śniły się tym zawsze, gdy ostatnia chwila żywota się zbliżała, lata dziecinne, rodzice lub wogóle dawno zmarłe osoby. Niema zatem wątpliwości, zbliża się koniec wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego. Przepadły: miłość, młodość, szczęście. Ale ból, gorycz minęły również... Cóż jeszcze pozostaje uczynić? Ach, jeszcze ten obowiązek... Odjechać ztąd... Ten ból rozstawania się z nią...

Myśli jego zaczęły znowu tracić wyrazistość. Ale uczucie, że postąpi, jak sobie był postanowił, że odjedzie do Rzymu, czuwało wyraźnie i nieustannie na dnie wszystkich snów i dręczących go zmor. Nie wiedział, że na dworze już świta.

Caterina wszakże wiedziała to, bo przez całą noc nie była prawie zmrużyła oka. Stała teraz na tarasie i patrzała w daleką krainę na wszystkie strony. Najczęściej wszakże w stronę, gdzie leżała Isola Farnese i dom dona Clemente.

Wszystko było jeszcze szarawe, i gwiazda poranna tonęła, samotna, piękna, biała, między mgłami na ziemi i zmrokiem na niebiosach, jak między dwiema otchłaniami. Było chłodno, dziewczę otuliło się w szal, wietrzyk igrał z jej włosami i uspokajał gorączkowo bijące w skroniach tętna. Powoli ukazywały się góry, jako długa, ciemna, modro-fioletowa pręga. Potem rozbłysła na niebie krzykliwie czerwona, krwawa smuga, niby otwierająca się głęboka w niem rana, ale z warg tej rany polał się wkrótce ichor bogów, złota ich krew, naprzód blado-żółta, potem topazowa, potem jak bursztyn, i niezadługo cały widnokrąg był krokusowy, przesiany światłością, czysty, a w dole zaczęły przedmioty wyraźnych nabierać konturów. Zróżowiała ziemia cała; z za tych delikatnych, przejrzystych łun błękitniały góry, brunatniały drzewa, skały, woda w krynicach i w potoku napiła się światła i połyskiwała metalicznie, konch perłowych tęczami, a obłoki, które zkądciś z oddali nieznanej przyżeglowały niby białe korabie, miotały świecące różane odblaski w dół na uśmiechniętą ziemię.

Coś z tego uśmiechu padło i w duszę dziewczęcia, któremu słońce złociło włosy, a twarz różane całowały zorze. Caterina uśmiechnęła się promiennie, bo oto śród modrawej, zielonawej równiny, na gościńcu, którego biały pył był niby różanym puchem okryty, zjawiły się dwie postacie jeźdźców, zbliżające się zwolna: don Clemente, a za nim zakrystyan z La Storta. Don Clemente! Nie zawiodła się na nim! Ciemna, wysoka, sucha, nieco don kiszocka jego postać rysowała się ostro na jasnem tle widnokręgu, i zdało się, gdy tak siedział na ośle, z głową pokornie spuszczoną jak w modlitwie, że ma nad głową apostolską jakąś koronę światłości. Caterina wiewała ku niemu chustką, ale zdało się, że jej nie widział, bo nie odpowiadał na jej pozdrowienia; weszła tedy do pokoju, poprawiła szybko nieporządki w swym stroju i jęła zstępować ze schodów na jego spotkanie. Usłyszała, że puka już do wrót i pospieszyła, chcąc sama mu otworzyć. Suntarella wszakże uprzedziła ją i całowała właśnie w rękę wzdragającego się dona Clemente, gdy dziewczę w bramie się ukazało.

— Dzięki, dzięki — szeptała drgającemi usty Caterina, nie mogąc żadnego innego słowa wymówić.

Don Clemente był bardzo wzruszony, kiwał głową milcząco i uśmiechał się do niej z niewysłownie tkliwą powagą.

Nawet Suntarella, zawsze taka gadatliwa, straciła swą zwykłą wymowność. Nie rzekła słowa i pospieszyła przygotować kawę, aby don Clemente po drodze, w tak chłodny odbytej ranek, mógł się rozgrzać poniekąd.

Caterina poprowadziła go na górę do salonu, gdzie oboje milcząc usiedli.

Dziewczę odzyskało prędzej, niż on, względny spokój. Było to naturalne. I nadzieje, i rozpacze już od niej były odstąpiły, i nie smagały, nie wzburzały jej duszy, która coraz głębiej w toniach rezygnacyi i poddania losowi się pogrążała. Los zwyciężył był, nie broniła się już i prawie się z nim pojednała. Toć ostatecznie i ona ze swej strony odniosła nad nim zwycięztwo, stanowczy powziąwszy zamiar, iż pójdzie swoją drogą. Poddawała się losowi Jana Maryi, ale swój wybrała sama.

— Zrobisz więc, ojcze — rzekła — o co cię prosiłam?

— Zrobię — odrzekł krótko i cicho.

Wzięła go za rękę i patrzyła mu wdzięcznie w oczy.

— A nie będzie to miało zbyt przykrych dla ciebie następstw? — zapytała. — Powiedz, ojcze, co grozi ci, jeżeli...

Przerwał jej ruchem ręki.

— O, to nic—rzekł—nie mówmy o tem.

Po chwili ciągnął dalej:

— Myślę, że nie możesz inaczej postąpić, niż jakeś się zdecydowała. Pojadę prosto ztąd do Rzymu. Osądziłaś donnę Paolinę zupełnie słusznie, mogłaby ci narobić wielkich nieprzyjemności. Znam ją: nie jest zła, nie jest zupełnie zła, ale ludzie stosunkowo dobrzy umieją być bardzo okrutnymi. I co do tego nie mylisz się, iż zostawi cię w zupełnym spokoju, gdy usłyszy, żeś wzięła ślub kościelny. Będzie ci nieprzyjaciółką, jak sama zauważyłaś, albo — lepiej mówiąc — znać was przestanie. Donna Paolina jest fanatycznie kościołowi oddana, ale nie ma wiele chrześciańskiego uczucia.—Powiedział to głosem bardzo smutnym.

— Zrzekam się jej przyjaźni—rzekła Caterina poważnie—toć zrzekam się wszystkiego na świecie. — I jakby w znużeniu opuściła ręce i głowę, i siedziała na swem krześle niby żywy obraz znękania.

— Caterino — rzekł ksiądz i wziął ją ze współczuciem za rękę. Nie będę próbował krzepić cię byle jakiemi pociechami. Wiem, boleść twa jest tak wielka, że myślisz iż skonasz z niej, i chcąc ulgę ci przynieść, drażniłbym cię jeno i urażał. Pociechę dać może tylko Bóg. Znajdziesz ją kiedyś sama, gdy on to uzna za dobre. Teraz pozostaje ci tylko płacz i jeszcze jedno: wołanie do tego, który zawsze wysłucha.

Caterina nie poruszyła się; i don Clemente pocieszał ją tedy tem, że czas boleść ukoi! I on, który tyle cierpiał, nie był różny od reszty ludzi! Nikt nie zdołał pojąć, że to właśnie było dla niej grozą największą, to ukojenie przez czas! Ach, miała więc zapomnieć! Było to przez ludzkość całą przyjęte prawo natury, i ludzie byli za nie wdzięczni! Powstała gwałtownie.

— Połącz nas przed Bogiem, ojcze—rzekła. Chwytała się świętego związku tego, który dawał jej prawo nie rozstawać się z nim.— Co Bóg złączy... szeptała do siebie, ale nie skończyła zdania.—Tego nietylko ludzie, ale żadna moc losu nie rozłączy—brzmiało głucho w jej świadomości.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).